

**ROBERT E. HOWARD**

**STALOWY DEMON**

## WSTĘP

Spośród ogromu literatury fantastycznej szczególnym powodzeniem cieszą się utwory w stylu fantasy, wywodzące swój rodowód od mitów, legend i poematów starożytnych ludów. Wydaje się, że ich popularność spowodowana jest wyraźnym pokrewieństwem ze światem baśni, a także stopniowym spadkiem zainteresowania fantastyką naukową utrzymaną w konwencji "hard", epatującą czytelnika drobiazgowymi, najczęściej quasi-naukowymi opisami zjawisk i technologii. Sprzyjają temu również tendencje eskapistyczne pojawiające się zawsze w okresach kryzysów, oraz wzmagające się rozczarowanie owocami postępu technicznego.

Brak jednoznacznej definicji stylu fantasy sprawia, że część krytyków kategorycznie zaprzecza istnieniu fantastyki baśniowej jako odrębnego podgatunku. Taką opinię wyraża na przykład Stanisław Lem w posłowie do wydanej ostatnio książki Ursuli K. Le Guin "Czarnoksiężnik z archipelagu". Chyląc czoła przed mistrzem uważam jednak, że można wyróżnić dwa podstawowe kryteria odróżniające fantastykę baśniową od reszty gatunku; drobiazgowo opracowane tło pseudohistoryczne, pseudoetnograficzne i pseudogeopolityczne oraz występowanie sił magicznych przy jednoczesnym braku zaawansowanych nauk i technologii. Wielbiciele trylogii J. R. R. Tolkiena z pewnością się ze mną zgodzą.

W Polsce ukazało się niewiele pozycji reprezentujących styl fantasy. Wspomniana już książka Ursuli K. Le Guin razem z jej uprzednio wydanym zbiorem opowiadań pt. "Wszystkie strony świata" oraz trzy dzieła J. R. R. Tolkiena ("Hobbit, czyli tam i z powrotem", "Władca pierścieni", "Rudy Dżil i jego pies" - przy czym ostatnia pozycja nie jest już fantasy sensu stricto) zamykają listę. Paru innych autorów znanych jest polskim czytelnikom z krótkich opowiadań drukowanych w różnych periodykach (np. Andre Norton, Henry Kuttner) i fragmentarycznych wzmianek krytyki. Miesięcznik "Fantastyka" wydał numer poświęcony fantastyce baśniowej. Jak do tej pory jednak nazwiska czołowych przedstawicieli gatunku, począwszy od pionierów - Williama Morrisa, Lorda Dunsany i Erica R. Eddisona, po twórców późniejszych - R. E. Howarda, C. A. Smitha, C. L. Moore, L. S. de Campa i M. Moorcocka, nie są znane ogółowi czytelników w naszym kraju.

Obecnie prezentujemy wielbicielom świata "Miecza i Magii" niezwykle popularnego na Zachodzie bohatera - Conana, stworzonego przez amerykańskiego pisarza R. E. Howarda. Robert Ervin Howard (1906-1936) napisał kilka serii powieści w stylu fantasy, z których najdłuższą i cieszącą się największym powodzeniem jest seria obejmująca opowieści o Conanie. Za życia Howarda opublikowano 18 utworów, których bohaterem był Conan - 8 innych w różnym stopniu zaawansowania odkryto w papierach pisarza po jego śmierci.

Rozpoczynając serię opowiadań o Conanie, Howard skonstruował własną wizję świata, w którym umieścił bohatera, drobiazgowo opracowując tło swych utworów w eseju "The Hyborian Age". Pisząc kolejne części sagi, Howard opierał się na wymyślonych przez siebie faktach z żelazną konsekwencją, cechującą, jak twierdził: "każdego dobrego pisarza powieści historycznych". Właśnie te solidne podstawy świata sprawiają, że przygody Conana są wciąż interesującą lekturą - podobnie jak zaliczone do klasyki utwory Tolkiena. Tym, których oburzy zestawienie nazwisk obu pisarzy przypomnę tylko, że "Władca pierścieni" Tolkiena powstał w latach 1936 - 1943, a "Hobbit..." w roku 1937, a więc wtedy, gdy Howard już nie żył.

Akcja opowiadań składających się na sagę o Conanie toczy się na Ziemi około 12 tysięcy lat temu. W tym czasie (wg Howarda) zachodnie części głównego kontynentu Wschodniej Półkuli zajmowały królestwa hyboriańskie, założone 3 tysiące lat wcześniej na ruinach imperium zła - Acheronu przez Hyborian, najeźdźców z północy. Na południe od królestw hyboriańskich leżały kłótniwe miasta - państwa Shemu. Za Shemem drzemało starożytne, złowrogie królestwo Stygii; rywal i partner Acheronu w krwawych dniach jego chwały. Jeszcze dalej na południe, za pustyniami i sawannami leżały barbarzyńskie Czarne Królestwa. Na północ od Hyborii ciągnęły się surowe ziemie Cymmerii, Hyperborei, Asgardu i Vanaheim. Na zachodzie, wzdłuż wybrzeży oceanu, zamieszkiwali dzicy Piktowie, a na wschodzie błyszcząły bogate królestwa hyrkaniańskie, z których najpotężniejszym był Turan. Conan był barbarzyńskim awanturnikiem urodzonym w Cymmerii - północnej krainie poszarpanych skał i pustego nieba. Po ojcu kowalu odziedziczył herkulesową siłę i posturę. Już jako piętnastoletni chłopiec bierze udział w pładrowaniu Venarium, aguilońskiego posterunku granicznego. W rok później przyłącza się do oddziału Esirów i zostaje schwytyany przez Hyperborejów podczas grabieżczej wyprawy na ich ziemie. Ucieka z niewoli i wędruje na północ, do królestwa Zamory. Przez kilka lat wiecie tam i w przyległych królestwach Koryncji i Nemedii ryzykowny żywot złodzieja. Nienawykły do cywilizacji i samowolny z natury, wrodzonym sprytem i siłą nadrabia braki w edukacji. Zmęczony głodową egzystencją zaciąga się jako najemnik w szeregi armii Turanu. Przez następne dwa lata odbywa liczne podróże daleko na wschód, do legendarnych ziem Meru i Khitanu. Po wielu perypetiach wynajmuje swoje żołnierskie usługi kolejnym państwom hyboriańskim. Zmuszony do ucieczki z Argos staje się piratem u wybrzeży Kush razem z shemicką kobietą-piratem, Belit. Tam zdobywa sobie imię Amra-Lew. Po utracie Belit Conan znów powraca do żołnierskiego rzemiosła - tym razem w Shemie i przyległych państwach. Później przeżywa przygody wśród wyjętych spod prawa jeźdźców wschodnich stepów, wśród piratów na Morzu Vilayet, wśród górskich szczepów zamieszkujących Góry Himeliańskie na granicach Iranistanu i Vendhyi (znów następny okres żołnierski w Koth i Argos, po którym zostaje najpierw piratem na wyspach Baracha, później kapitanem zingarańskich bukanierów... itd., itd.). Pełna saga o Conanie liczy ponad dwadzieścia tomów i nie sposób w tym miejscu choćby pobieżnie streścić jego burzliwy żywot.

Pirat i wierny żołnierz - hulaka, niezwykły w boju, szlachetny wobec słabszych, wrażliwy na blask złota i kobiece wdzięki, nieustraszony Conan brnie przez potoki krwi zwyciężając ludzi, potwory i podstępnych czarowników, by w końcu zostać królem potężnego państwa - Aguilonii.

Około 500 lat po czasach Conana Wielkiego, większość królestw Ery Hyboriańskiej zmyła fala najazdu barbarzyńców. Przez kilkadziesiąt następnych lat Ziemię zamieszkiwały nieliczne, wędrowne plemiona wiecznie walczących ze sobą koczowników. Później resztki cywilizacji zostały starte przez ostatni pochód lodowców i potężne wstrząsy tektoniczne. Wtedy właśnie powstało Morze Śródziemne i Morze Północne, wielkie Morze Vilayet zmniejszyło się do rozmiarów dzisiejszego Morza Kaspijskiego, a z fal Atlantyku wynurzyły się rozległe obszary Afryki Zachodniej. Ludzkość stoczyła się do poziomu prymitywnych dzikusów. Po cofnięciu się lodowca cywilizacja znów zaczęła się rozwijać osiągając stan dzisiejszy.

Zapraszam wszystkich do hyboriańskiego świata i życzę przyjemnej lektury!

## STALOWY DEMON (The Devil in Iron)

*Raz jeszcze jego szczęście z kobietą trwało krótko. Złe moce czy niespokojny charakter powodują, że porzuca Sanchez w najbliższym porcie. Wraz z ocalałymi kompaniami, słuchając ballady w portowej tawernie o niewyobrażalnych skarbach Koru, krainie leżącej na południe od rzeki Zarkheba, ulega czarowi pieśni i płynie na Ocean Zachodni ku tajemniczemu Południu. Tam też, w tajemniczej świątyni, spotyka kilku reprezentantów nieśmiertelnego plemienia Prastarej Rasy. Próba zdobycia skarbu przywiezionego przez nich z innego świata opłacona zostaje śmiercią wszystkich współtowarzyszy i stratą okrętu. Tam też Conan poznaje swoje przeznaczenie i jedyny raz w swym życiu ocalenie zawdzięcza nie sile swych mięśni i szybkości miecza, ale tajemnym mocom. Nie mając załogi, tracąc okręt, lecz wzbogacając swe niezwykle doświadczenie Conan porzuca piracką profesję i wędrując na północ, po wielu przygodach dociera do Turanu, gdzie munganowie, konni rabusie plądrują pogranicze Koth, Zamory i Turanu. Mylnie interpretując słowa Tej-Która-Ożywia próbuje zjednoczyć kozaków i założyć nowe królestwo. Wraz z korsarzami z Czerwonego Bractwa Morza Vilayet jedynie łupi osady i miasta nie będąc w stanie okiełznać ożywionego przez niego żywiołu zniszczenia.*

### 1

Rybak kurczowo ścisnął rękojeść swego noża. Zrobił to zupełnie odruchowo, bowiem tego, czego się obawiał, nie zdołałby zabić nożem - nawet zębatym, zakrzywionym ostrzem Yuetshów, którym z łatwością można rozplatać dorosłego mężczyznę. Tutaj, w murach opuszczonej fortecy Xapur, przybyszowi nie zagrażał ani człowiek, ani zwierzę.

Wspiąwszy się na strome, przybrzeżne skały, przebył otaczającą fortyfikację dżungli i znalazł się wśród pozostałości zaginionej cywilizacji. Wśród drzew białe potrzaskane kolumny, zygzaki kruszących się murów biegly chwiejnymi meandrami w cień, a szerokie niegdyś chodniki popękały i powybrzuszały się pod naporem olbrzymich korzeni.

Rybak był typowym przedstawicielem swej rasy; dziwnego ludu, o rodowodzie ginącym w mrokach przeszłości, który od niepańskich czasów zamieszkiwał prymitywne chaty osad leżących nad brzegami Morza Vilayet. Krępy mężczyzna o długich, małych ramionach i cienkich kabłąkowatych nogach, miał szeroką twarz, niskie cofnięte czoło okolone strzechą zmierzwiomych włosów i potężny tors. Pas z nożem i łachman przepaski stanowiły cały jego strój. Obecność rybaka w tym miejscu dowodziła, że w przeciwieństwie do większości swych współplemieńców nie był zupełnie pozbawiony ciekawości. Ludzie rzadko odwiedzali Xapur. Niezamieszкана, prawie zapomniana wyspa, jedna z tysięcy rozsianych na tym wielkim, śródlądowym morzu. Zwano ją Fortecą Xapur, ze względu na ruiny - pozostałość jakiegoś prehistorycznego królestwa, zapomnianego na długo przed nadejściem Hyborian z północy. Nikt nie wiedział, kto ociosał te głazy, chociaż przekazywane wśród Yuetshów z pokolenia na pokolenie, na wpół niezrozumiałe legendy wspominały o pradawnym związku między rybakami a wymarłymi mieszkańcami wyspy.

Jednak Yuetshowie już ponad tysiąc lat wcześniej przestali rozumieć sens tych opowiadań. Teraz powtarzali je jak pozbawione znaczenia, rytualne formułki, zgodnie ze zwyczajem przekazywane z ojca na syna. Od wieków nikt z ich plemienia nie postawił stopy na Xapur. Pobliskie brzegi były nie zamieszkanе; porośnięte trzcina bagna i dzikie bestie czyniły je niedostępnymi.

Wioska rybaka leżała nieco dalej na południe. Nocny sztorm przygnał jego rozsychającą się łódkę tutaj, daleko od zwykłych łowisk, a ryczące fale roztrzaskały ją o urwisty brzeg wyspy. Teraz, rankiem niebo było niebieskie i czyste, a wschodzące słońce zamieniało krople rosy na liściach w skrzące się diamenty.

Podczas burzy, kiedy to jeden szczególnie silny piorun uderzył w wyspę, dał się słyszeć potężny rumor i łoskot osypujących się głazów. Nie wydawało się możliwe, by ten dźwięk mogło wywołać walące się drzewo. Spędziwszy noc u podnóża skał, rybak wdrapał się na nie o świcie. Przygnała go tam zwykła ciekawość, a teraz, gdy znalazł to, czego szukał, ogarnął go niepokój i instynktowne przecucie niebezpieczeństwa.

Pośród drzew widniały ruiny kopulastej budowli, wzniesionej z gigantycznych bloków tego szczególnego, jak stal twardego kamienia, znajdującego tylko na wyspach Vilayet. Zdawało się nieprawdopodobnym, by ludzkie ręce zdołały obrobić te głazy i ustawić z nich mury, a z pewnością zburzenie ich nie leżało w mocy człowieka. Jednak piorun strzaskał kilkotonowe głazy niczym szkło, zamieniając niektóre z nich w zielony pył i rozłupując kopulasty strop.

Rybak wspiął się na gruzowisko i zajrzawszy do środka wydał okrzyk zdumienia. Pod rozbitym sklepieniem, obsypany przez odłamki skały i kurz, na złotym piedestale leżał olbrzym.

Jedynym jego odzieniem była krótka spódniczka z rekiniej skóry. Czarną grzywę prosto przyciętych włosów przytrzymywała mu na skroniach wąska, złota opaska. Na nagiej, muskularnej piersi leżał dziwny sztylet o szerokim, zakrzywionym ostrzu i wysadzanej klejnotami rękojeści. Broń była bardzo podobna do noża, jaki nosił u pasa rybak, chociaż nie miała zębatego ostrza i wykonano ją z nieskończenie większą starannością.

Rybak pożądliwie spojrział na sztylet. Jego właściciel był niewątpliwie martwy; martwy od wielu wieków, spoczywał w swym kopulastym grobowcu. Rybak nie zastanawiał się długo nad tajemniczą sztuką starożytnych, dzięki której umarli zachowali tak ludzkie pozory życia, a jego smagłe ciało przetrwało nietknięte przez czas. Wszystkie myśli przybyłego skupiły się na pięknym nożu zdobionym delikatnymi, falistymi liniami biegnącymi wzdłuż zimno lśniącego ostrza.

Zszedłszy do grobowca, podniósł broń leżącą na piersiach mężczyzny. W tej samej chwili zdarzyło się coś dziwnego i strasznego. Muskularne, czarne dłonie, ciemne źrenice, których magnetyczne spojrzenie uderzyło przerażonego rybaka niczym cios pięści. Cofnął się upuszczając sztylet, gdy spoczywający na postumencie olbrzym podniósł się do pozycji siedzącej. Rybak rozdziawił usta ze zdziwienia, widząc jak gigantyczną posturą obdarzony był nieznajomy. Ten wpatrywał się w niego zwięzonymi oczyma, pozbawionymi życzliwości czy wdzięczności, płonącymi obco i wrogo niczym ślepią tygrysa. Nagle wstał ze swego postania i pochylił się nad rybakim. W prymitywnej duszy rybaka nie było miejsca na uczucie strachu; przynajmniej widok naruszenia podstawowych praw natury go nie wzbudził. Gdy olbrzymie dłonie zacisnęły się na jego ramionach, dobył swego zakrzywionego noża i pchnął - jednym płynnym ruchem. Ostrze prysnęło uderzywszy w muskularny tors giganta, jakby okrywał go niewidoczny stalowy pancerz i w tej samej chwili kark rybaka trzasnął w rękach olbrzyma jak spróchniała gałąź.

Johungir Aga, pan Kwaharizm oraz strażnik morskich granic, raz jeszcze spojrzął na ozdobny zwój pergaminu opatrzony wielobarwną pieczęcią, po czym zaśmiał się krótko i sardonicznie.

- No? - bezceremonialnie nalegał Ghaznavi, jego doradca.

Johungir wzruszył ramionami. Był przystojnym mężczyzną, dumnym ze swych osiągnięć i wysokiego urodzenia. - Król się niecierpliwi - powiedział. - Własną ręką kreśli do mnie słowa swego niezadowolenia z powodu mojej, jak to nazywa, niezdolności do ochrony granicy. Na Rarima, jeżeli nie zdołam zniszczyć tych stepowych rabusiów, Kwaharizm będzie miał nowego pana!

Ghaznavi w zamyśleniu gładził swą przetykaną siwizną brodę. Yezdigerd, król Turanu, był najpotężniejszym monarchą na świecie. Jego pałac w wielkim portowym mieście - Aghrapurze, wypełniały nieprzebrane skarby. Fiotylle jego galer wojennych o czerwonych żaglach królowały na Morzu Hyrkańskim i Morzu Vilayet. Ciemnoskórzy Zamorianie składali mu daninę, tak samo jak wschodnie prowincje Koth. Również Shemici poddali się jego władzy, aż po leżący daleko na zachodzie Shushan. Jego armie pustoszyły pograniczne Stygii na południu i okryte śniegiem ziemie Hyperborejów na północy. Jego jeźdźcy ponieśli ogień i żelazo na zachód, do Brythunii, Ophiru, Korynthii, a nawet do granic Nemedii. Na rozkaz króla Yezdigerda wojownicy w pozłaczanych zbrojach tratowali kopytami swych koni mieszkańców tych ziem i puszczali z dymem ich miasta. Na przepełnionych targowiskach niewolników w Aghrapurze, Sultanapurze, Kwaharizmie, Shahpurze i Khorusunie, za trzy małe sztuki srebra sprzedawano kobiety: ciemnowłose Zomranki, brunatnoskóre Stygijki, jasnowłose Brythunki, hebanowe Kuchitki i Shemitki o oliwkowej skórze.

A jednak, chociaż jego szybka jazda zwyciężała obce armie daleko od granic Turanu, tuż pod bokiem zuchwały wróg szarpał go za brodę, niosąc śmierć i pożogę. Na rozległych stepach, między Morzem Vilayet a odległymi granicami hyboryjskich królestw, powstała w ciągu niecałych pięćdziesięciu lat nowa społeczność, założona przez zbiegłych niewolników, banitów, przestępców i dezertów. Ich zbrodnie były tak rozmaite jak kraje ich pochodzenia: jedni urodzili się na stepach, inni przybyli z królestw Zachodu. Nazywano ich kozakami, czyli przybłędami.

Zamieszkując szerokie, dzikie równiny, nie uznając żadnych praw prócz swego specyficznego kodeksu, potrafili stawić czoło nawet wojskom wielkiego Monarchy. Nieustannie najeżdżali granice Turanu, chroniąc się w stepie w razie klęsk razem z piratami Czerwonego Bractwa Morza Vilayet niepokoił wybrzeże, łupiąc statki handlowe kursujące między portami Hyrkanii.

- Jak mam zniszczyć to wilcze plemień? - dopytywał się Johungir.

- Jeśli wyruszę za nimi w step, ryzykuję, że otoczą mnie i rozbiją, albo jeżeli będę miał przewagę, wymkną się z okrążenia i spalą miasto w czasie mojej nieobecności.

Ostatnio rozzuchwalili się bardziej niż zwykle.

- To z powodu nowego wodza - rzekł Ghaznavi. - Wiesz o kim myślę.

- Tak? - odparł Johungir z wściekłością. - To ten demon Conan. Jest jeszcze dzikszy od kozaków, ale waleczny niczym górski lew.

- Raczej dzięki instynktowi niż inteligencji - powiedział Ghaznavi.

- Inni kozacy są przynajmniej potomkami cywilizowanych ludzi. On jest barbarzyńcą, gdyby udało się nam go pozbyć zadalibyśmy kozakom decydujący cios.

- Ale jak? - pytał Johungir. - Raz po raz wychodzi cało, z wydawałoby się, śmiertelnych operacji. Poza tym, dzięki instynktowi czy rozwadze, uniknął wszystkich zastawionych na niego zasadzek.

- Na każde zwierzę i na każdego człowieka znajdzie się odpowiednia przynęta - rzekł sentencjonalnie Ghaznavi.

- Kiedy paktowaliśmy z kozakami w sprawie okupu za więźniów, obserwowałem Conana. Ma skłonność do mocnych trunków i nie stroni od kobiet. Sprowadź tu swą niewolnicę Oktawie.

Johungir klasnął w dłoń i hebanowoczarny Kushita - eunuch o kamiennej twarzy - oddalił się z niskim pokłonem, by wykonać rozkaz. Po chwili wrócił, wiodąc za rękę wysoką, przystojną dziewczynę, której jasne włosy, oczy i skóra świadczyły o miejscu urodzenia. Krótka, ściągnięta w pasie tunika, podkreślała zarysy wspaniałego ciała. W jasnych oczach palił się niechętny błysk, a pełne wargi zaciskały się uparcie, lecz długie miesiące niewoli nauczyły ją posłuszeństwa. Stała ze zwieszoną głową przed swym panem, dopóki gestem nie nakazał jej sięść obok na dywan.

Johungir spojrzął wyczekująco na doradcę.

- Musimy wywabić Conana z obozu - wypalił Ghaznavi. - Obecnie znajduje się on gdzieś w dolnym biegu rzeki Zaporozka, która jak wiem, jest gęszczeniem trzciny, bagnistą dżunglą, gdzie ostatnia ekspedycja karna wyginęła do ostatniego człowieka.

- Nie mogę o tym zapomnieć - powiedział ze złością Johungir.

- Niedaleko leży nie zamieszкана wyspa - ciągnął Ghaznavi - zwana Fortecą Xapur, ze względu na prastare ruiny, jakie na niej stoją. Pewien szczegół czyni ją idealną dla naszych celów. Otóż jej brzegi wznoszą się wprost z morza, tworząc urwiska na sto pięćdziesiąt stóp. Nawet mała nie zdołałaby się na nie wspiąć. Jedyna droga, jaką można się dostać: na wyspę, znajduje się na zachodnim brzegu - to strome, wykute w skale schody.

- Jeżeli zdołamy zwabić Conana na wyspę samego, nasi łucznicy będą mogli ustrzelić go jak lwa w klatce.

- Pobożne życzenia - przerwał niecierpliwie Aga. Musimy wysłać do niego posłańca z prośbą, by przybył na wyspę i poczekał tam na nas?

- W samej rzeczy! - widząc zdumienie Johungira, doradca ciągnął dalej.

- Zaczniemy rokowania z kozakami na skraju stepu, przy forcie Ghori. Jak zwykle udamy się tam zbrojnie i rozłożymy obóz pod murami zamku. Oni przybędą w równej sile, po czym rokowania przebiegną jak zazwyczaj: w atmosferze podejrzliwości i braku zaufania. Jednak tym razem weźmiemy ze sobą, jakby przypadkiem naszego ślicznego więźnia - doradca ruchem głowy wskazał dziewczynę.

Oktawia zbladła i zaczęła słuchać ze zdwojonym zainteresowaniem.

- Ona użyje całego swego sprytu, by zwrócić uwagę Conana. To nie powinno być trudne. Temu dzikiemu rabusiowi wyda się niezmiernie pięknym zjawiskiem. Jej żywy charakter i jędrne ciało powinny pociągać go silniej niż wdzięki którejś z lalkowatych piękności twojego seraju, panie.

Oktawia skoczyła na równe nogi, zaciskając pięści, sypiąc skry z oczu i trzęsąc się ze złości.

- Chcicie zmusić mnie do łajdaczenia się z tym barbarzyńcą? - krzyknęła. - Nie zrobię tego! Nie jestem tanią dziwką z jarmarku, żeby kokietować jakiegoś stepowego rabusia. Jestem córką nemediańskiego szlachcica i ...

- Byłaś nemediańską szlachcianką, zanim porwali cię moi jeźdźcy - zreplikował Johungir. - Teraz jesteś tylko niewolnicą i uczynisz, co każę.

- Nie zrobię tego! - wrzasnęła.

- Wprost przeciwnie - rzekł z wysublimowanym okrucieństwem Johungir - zrobisz. Podoba mi się plan Ghaznaviego. Mów dalej, mój książe doradców.

- Conan najprawdopodobniej zechce ją kupić. Oczywiście, odmówisz sprzedaży czy wymiany na naszych hyrkańskich jeńców. Może nawet spróbuje ją porwać lub zabrać siłą - chociaż nie sądzę, by chciał naruszyć zawieszenie broni. W każdym razie musimy być przygotowani na wszystko. Zaraz po rokowaniach, zanim zdoła o niej zapomnieć, wyślemy do niego posła, oskarżając go o porwanie dziewczyny i żądając jej zwrotu. Być może zabije posłańca, ale będzie sądził, że dziewczyna uciekła. Później wyślemy szpiega - yuetshański rybak będzie odpowiedni - do obozu kozaków, aby powiedział Conanowi, że Oktawia ukrywa się na Xapur. O ile go znam, uda się tam natychmiast.

- Ale czy na pewno sam? - spytał się Johungir.

- Czy mężczyzna bierze ze sobą oddział wojowników, gdy udaje się na spotkanie z kobietą, której pożąda? - odparł doradca. - Jest duża szansa, że będzie sam. Jednak zabezpieczymy się przed tą drugą ewentualnością. Nie będziemy czekać na niego na wyspie, ryzykując, że zamieni się ona w pułapkę, lecz ukryjemy się w trzcinach, dochodzących prawie na tysiąc jardów do Xapur. Jeśli przybędzie z większą siłą, wycofamy się i wymyślimy coś innego. Jeżeli przybędzie sam lub z kilkoma ludźmi - będzie nasz. Na pewno przybędzie, mając w pamięci uśmiechy i znaczące spojrzenia twojej czarującej niewolnicy, panie.

- Nigdy nie okryję się taką hańbą! - Oktawia szalała z gniewu i upokorzenia. - Prędzej umrę!

- Nie umrzesz, moja piękna buntowniczo - rzekł Johungir - ale doświadczysz czegoś bardzo bolesnego i przykrego.

Klasnął w dłonie i Oktawia pobladła. Tym razem nie pojawił się ciemnoskóry, lecz muskularny Shemita - krępy mężczyzna z kędzierzawą, kruczoczną bródką.

- Jest robota dla ciebie, Gilzemie - rzekł Johungir. - Weź tę głupią dziewczkę i pobaw się z nią trochę. Tylko bacz, byś nie zepsuł jej urody.

Z nieartykułowanym mruknięciem Shemita chwycił Oktawie za rękę i uścisk jego żelaznych palców sprawił, że opuściła ją cała odwaga. Z żalonym okrzykiem wyrwała się oprawcy i padła na kolana przed nieubłaganym Agą, z łkaniem o litość.

Johungir gestem odprawił rozczarowanego kata i rzekł do Ghaznaviego:

- Jeżeli twój plan się powiedzie, ożłoć cię! Ciemności przedświt, spowijające morze falujących trzciny i mętne wody bagniska, zakłócał dziwny szmer. Nie spowodował go leniwie ciekący strumyk ani skradające się zwierzę. Przez gęste, wysokie trzcinę przedierała się ludzka istota.

Gdyby ktoś tam był, zobaczyłby kobietę - wysoką i jasnowłosą o bujnych kształtach podkreślonych przez przemoczoną tunikę oblepiającą jej ciało. Oktawia rzeczywiście uciekła; nawet teraz wzdrygała się na wspomnienie upokorzeń, jakich zaznała w niewoli. Wystarczająco okropne było mieć Johungira za pana, lecz on z rozmyślnym okrucieństwem podarował ją szlachcicowi, którego imię nawet w Kwaharizmie było synonimem zwyrodnienia. Na samą myśl o tym ciarki przebiegły po jedwabistej skórze Oktawii. Rozpacz dodała jej sił do ucieczki z zamku Jelal Chana. Nocą spuściła się po linie sporządzonej z podartych tkanin ściennych, a przypadek dopomógł jej znaleźć spętanego konia. Jechała całą noc; rano zastała ją z ochwaconym wierzchowcem na bagnistym brzegu morza. Trzęsąc się z odrazy na myśl o ponownym wpadnięciu w ręce Jelal Chana i czekającym ją w tym wypadku losie, zagłębiła się w moczary, szukając schronienia przed spodziewanym pościgiem. Kiedy otaczające ją trzcinę stały się rzadsze, a woda sięgała do pasa, dziewczyna ujrzała przed sobą mroczne kontury wyspy. Oddzielał ją od brzegu szeroki pas wody, ale nie powstrzymało to Oktawii. Brnęła dalej, dopóki ciemna toń nie sięgała jej do piersi, potem odbiła się mocno od dna i popłynęła z wigorem świadczącym o niezwykłej wytrzymałości. Gdy podpłynęła bliżej, zobaczyła, że brzegi wyspy wznoszą się pionowo z wody niczym mury zamku. W końcu dotarła do ich podnóża, ale nie znalazła ani uchwytu, ani występu, na którym mogłaby stanąć. Popłynęła dalej wzdłuż brzegu, czując jak ogarnia ją zmęczenie. Nagle, macające niecierpliwie ręce trafiły na zagłębienie. Z jęklwym westchnieniem ulgi wciągnęła się na głazy i leżała, dysząc, ociekająca wodą, w przyćmionym blasku gwiazd podobna do białej boginki. Natrafiła na coś, co wyglądało na wykute w skale schody. Ruszyła po nich w górę. Nagle przywarła do kamieni usłyszawszy stłumione skrzypnięcie obwiązanych szmatami wiosel. Wyteżyła wzrok i wydało jej się, że dostrzega niewyraźny kształt zmierzający do porośniętego trzciną cypla, który niedawno opuściła. Jednak mrok był wciąż jeszcze zbyt gęsty, by mogła być tego pewna. W końcu słaby szmer ucichł i Oktawia znów ruszyła w górę. Jeżeli to pościg za nią, nie miała innego wyjścia, jak ukryć się na wyspie. Wiedziała, że większość wysp tego bagnistego wybrzeża była nie zamieszkała. Ta mogła być pirackim gniazdem, ale wołała nawet piratów od Jelal Chana - bestii w ludzkiej skórze. W czasie wspinaczki mimowolnie porównała swego właściciela z wodzem kozaków, którego - pod przymusem - bezwzględnie kokietała w namiotach obozu przy forcie Ghorī, gdzie hyrkańscy panowie układali się ze stepowymi wojownikami. Jego palące spojrzenia przepajały ją lękiem i wstydem, lecz czysta, prymitywna natura stawiała go wyżej od potwora, jakiego tylko zbyt wyrafinowana cywilizacja mogła wydać.

Wdrapała się na skraj urwiska i bojaźliwie rozejrzała się wokół. Gęstwina sięgała prawie do samego brzegu, tworząc zwartą ścianę ciemności. Coś śmignęło jej nad głową, skuliła się mimo woli, wiedząc, że to tylko nietoperz.

Chociaż przerażała ją hebanowy mrok, zacisnęła zęby i skierowała się w głąb wyspy, próbując nie myśleć o jadowitych węzłach. Jej bosa stopy stąpały bezgłośnie po miękkim poszyciu. Kiedy weszła między drzewa, ciemność zamknęła się wokół niej nieprzeniknionym murem, napełniając trwogą. Nie zrobiła jeszcze tuzina kroków, a już nie mogła dojrzeć skał i morza. Po kilku następnych straciła poczucie kierunku i zgubiła się kompletnie. Przez splątane gałęzie nie mogła dostrzec ani jednej gwiazdy. Po omacku brnęła na oślep, gdy nagle - zatrzymała się.

Gdzieś przed nią rozległo się monotonne dudnienie bębna. Nie był to ten rodzaj dźwięku, jakiego można by się spodziewać w tym miejscu i czasie. Jednak zapomniała o nim natychmiast, uświadomiwszy sobie czyją obecność w pobliżu. Nie widziała niczego, ale wiedziała, że ktoś stoi przy niej w ciemności.

Ze zduszonym krzykiem rzuciła się w tył i w tej samej chwili coś, w czym, mimo paniki, rozpoznała ludzkie ramię, chwyciło ją w tali. Wrzasnęła i szarpnęła się ze wszystkich sił, lecz napastnik porwał ją w objęcia jak dziecko, z łatwością przewycięzając gwałtowny opór. Milczenie, z jakim spotkały się jej rozpaczliwe błagania i protesty, wzmoгло jeszcze jej przerażenie. Poczwała, że ktoś taszczy ją w kierunku odległego, wciąż pulsującego miarowym rytmem, bębna.

Kiedy pierwszy promyk świtu poczerwienił morze, do brzegu wyspy zbliżyła się mała łódź z samotnym żeglarzem. Mężczyzna ten był niezwykle malowniczą postacią. Głowę miał obwiązaną purpurową opaską, obszerną jedwabną koszulę o jaskrawej barwie

podtrzymywała szeroka szarfa, na której zawieszona była krótka szabla w pochwie z rekiniej skóry. Nabijane złotem skórzane buty sugerowały, że ich właściciel był raczej jeźdźcem niż żeglarzem, tym niemniej wprawnie sterował swoją łodzią.

Wycięcie szeroko otwartej jedwabnej koszuli ukazywało muskularną, spaloną od słońca pierś.

Pod brązową skórą przybysza grały potężne mięśnie, gdy bez wysiłku poruszały piórami wiosel. Jego rysy zdradzały dziką, prymitywną naturę, lecz twarz nie była odpychającym obliczem dzikusa, chociaż płomień tłący się w błękitnych oczach zdradzał, że łatwo jest wzbudzić jego gniew. Był to Conan, który zawędrował do warownych obozowisk kozaków nie mając nic prócz swego sprytu i miecza, a jednak został ich wodzem.

Przybił do brzegu opodal wykutych w skale schodów, jak ktoś dobrze znający wyspę i przycumował łódź do skalnego występu. Następnie bez wahania ruszył w górę po zmurszałych stopniach. Rozglądał się bacznie wokół; nie dlatego, by świadomie spodziewał się ukrytego zagrożenia, lecz ponieważ czujność była częścią jego osobowości wyostrzoną przez pełne niebezpieczeństw życie, jakie wiódł. To, co Ghaznavi uważał za jakiś szósty zmysł lub zwierzęcy instynkt, było jedynie nabytą w toku długotrwałych ćwiczeń wprawą i wrodzonym sprytem barbarzyńcy. Żaden instynkt nie podpowiadał Conanowi, że obserwują go ukryci w nadbrzeżnych trzcinach ludzie.

Kiedy wspinał się na urwisko, jeden z nich odetchnął głęboko i powoli naciągnął cięciwę swego łuku. Johungir chwycił go za ramię i z wściekłością syknął do ucha:

- Głupcze! Chcesz wszystko zepsuć? Nie widzisz, że jest poza zasięgiem? Niech wejdzie na wyspę. Będzie szukał dziewczyny. My zaczekamy tu jakiś czas. Mógł wyczuć naszą obecność lub przejrzeć nasz plan. Może ukrył gdzieś w pobliżu swoich wojowników. Poczekamy. Za godzinę, jeżeli nie znajdzie nic podejrzanego, podpłyniemy do schodów i zaczaiemy się tam. Jeśli nie powróci szybko, pójdziemy na wyspę i zapolujemy na niego. Wolałbym jednak tego uniknąć, bo wielu z nas zginie w dżungli. Chciałbym zaskoczyć go, gdy będzie schodził do łodzi i naszpikować strzałami z bliskiej odległości.

W tym czasie nie podejrzewający niczego, wódz kozaków zagłębił się w gęstwinę. Szedł cicho na miękkich, skórzanych podszwach, przesywając wzrokiem każdy zakamarek, niecierpliwie oczekując widoku wspaniałej, jasnowłosej piękności, o której marzył od chwili pierwszego spotkania w namiocie Johungir Chana przy forcie Ghor. Pożądałby jej nawet, gdyby okazywała mu wyraźną niechęć. Jednak jej znaczące spojrzenia i uśmiechy rozpały mu krew i teraz z całą odziedziczoną po przodkach gwałtownością pożądał tej białoskórej, jasnowłosej kobiety.

Był już przedtem na Xapur. Niecały miesiąc wcześniej odbyło się tu sekretne spotkanie z piratami. Wiedział, że właśnie zbliża się do miejsca, gdzie wznoszą się tajemnicze ruiny, którym wyspa zawdzięcza swoją nazwę i zastanowił się przelotnie, czy poszukiwana dziewczyna ukrywa się wśród nich. Nagle stanął jak wryty.

Zobaczył coś, co przeczyło wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi - wielki, ciemnozielony mur, za blankami którego wznosiły się wyniosłe wieże.

Przez chwilę Conan stał jak sparaliżowany, szarpany wątpliwościami, jakie ogarnęłyby każdego, kto staje w obliczu rzeczy nieprawdopodobnej i przeczącej zdrowemu rozsądkowi. Conan nie wątpił w swoje zmysły, ale coś tu było nie w porządku. Mniej niż miesiąc wcześniej tylko ruiny wznosiły się wśród drzew.

Czyż ludzkie ręce zdołałyby wnieść tak potężne mury w ciągu zaledwie kilku tygodni? Ponadto, nieustannie przemierzający Morze Vilayet, piraci powinni zauważyć prace przy tak gigantycznym przedsięwzięciu i zawiadomić kozaków.

W żaden sposób nie można było wytłumaczyć tego wydarzenia, a jednak wzrok nie mylił barbarzyńcy. Znajdował się na Xapur i te fantastyczne, kamienne budowle stały na wyspie i wszystko to wydawało się szaleństwem i niemożliwością, a jednak było prawdą.

Zawrócił chcąc umknąć z powrotem przez dżunglę. Wykute w skale schody i błękitne wody oddzielały go do odległego obozu u ujścia rzeki Zaporozka. Przez jedną krótką chwilę ogarniętemu ślepą paniką Conanowi nawet myśl o pozostaniu w pobliżu wyspy wydała się odstręczająca. Najchętniej porzuciłby wszystko - warowne obozy, step, kozaków i zostawił tysiąc mil za sobą ten tajemniczy Wschód, gdzie niewyobrażalne, demoniczne moce wyczyniały rzeczy urągające podstawowym prawom natury.

Przez chwilę przyszłość królestw, uzależniona od nieświadomego tego barbarzyńcy, wisiała na włosku. Tylko jeden drobny szczegół przeważał szalę: spłoszony wzrok Conana padł na mały strzęp jedwabiu wiszący na krzaku. Pochylił się nad nim węsząc. Wyczuł delikatną woń. Ten wydarty przez gałąź kawałek materiału zachował dręczący zmysły zapach. Raczej dzięki jakiemuś niejasnemu przecuciu niż dzięki wyczulonemu węchowi rozpoznał perfumy pięknej, jasnowłosej dziewczyny, którą widział w namiocie Johungira. Zatem rybak nie kłamał: była tu! Później zobaczył na ziemi odcisk bosej stopy: długiej i wąskiej - ślad mężczyzny, nie kobiety - lecz odcisnięty nienaturalnie głęboko. Wniosek był oczywisty: człowiek niósł coś, a coś to mogło być jak nie poszukiwana dziewczyna? Conan stał bez ruchu patrząc na czarne wieże groźnie majaczące między drzewami i w jego niebieskich oczach pojawił się złowrogi błysk. Pożądanie jasnowłosej dziewczyny i ponura, pierwotna nienawiść do jej porywacza, stopiły się w jedno, przemożne uczucie. Namietność przezwyjęczyła przesądny lęk i Conan, przycajony niczym gotujący się do skoku lew, ruszył ku murom fortu, korzystając z osłony gęstego listowia.

Stwierdził, że mur zbudowany z tego samego zielonego kamienia, z jakiego korzystali dawni budowniczości wznosząc fortyfikacje leżące do niedawna w ruinie i doznał dziwnego wrażenia, że spogląda na coś dobrze znanego. Wydawało mu się, że patrzy na coś, co widział przedtem we śnie.

W końcu zrozumiał. Mury i wieże znajdowały się na miejscu dawnych ruin. Jakby z kruszących szczątków znów odbudowano starożytną budowlę.

Żaden dźwięk nie zakłócił ciszy poranka, gdy Conan podkraść się pod mur wznoszący się pionowo wśród bujnej roślinności; tu, na południowych krańcach ogromnego, śródziemnego morza, prawie tropikalnej. Na blankach nie ujrzał nikogo, niczego też nie dosłyszał. W pobliżu dostrzegł masywną bramę, lecz nie przypuszczał, by mogła być nie zamknięta czy nie strzeżona. Wiedziony przekonaniem, że kobieta, której szukał, znajduje się gdzieś za murami, postąpił w typowy dla siebie, zuchwały sposób.

W górze porośnięte pnączami gałęzie sięgały prawie do blanków. Conan wdrapał się na drzewo jak kot, po czym, dotarłszy nieco powyżej górnej krawędzi muru, chwycił obiema rękami gruby konar, rozkołysał się i w odpowiedniej chwili puścił. Przeleciał w powietrzu i z kocią zwinnością wylądował na blankach. Tam przycisnął się i spojrzał w dół, na ulice miasta.

Mur miał niewielki obwód, lecz liczba budynków znajdujących się wewnątrz była zdumiewająca. Trzy- i czteropiętrowe budowle z zielonego kamienia miały płaskie dachy i reprezentowały dobry styl architektoniczny. Ulice zbiegały się jak szprychy koła na ośmiokątnym placu stanowiącym centrum miasta - tam wznosił się wyniosły gmach o wielu kopułach i wieżach, górujących nad całym miastem.

Na ulicach i w oknach nie zobaczył żywej duszy, chociaż słońce wzeszło już dawno. Królująca wszędzie martwa cisza zdawała się świadczyć o opuszczeniu miasta.

Conan znalazł wąskie, kamienne schody i ruszył nimi w dół.

Domy przylegały tak blisko muru, że znalazłszy się w połowie drogi miał najbliższe okno na wyciągnięcie ręki. Zatrzymał się i zajrzał. Okno nie miało okiennic ani krat, tylko rozchylone szeroko jedwabne zasłony. Za nimi zobaczył komnatę o ścianach pokrytych ciemnymi, aksamitnymi gobelinami. Na podłodze leżały grube dywany, a ławy z polerowanego hebanu i łoża ze słoniowej kości zasłane były stertami futer.

Conan zamierzał iść dalej, gdy usłyszał na ulicy czyjeś kroki. Zanim nadchodzący zdążył wyjść zza rogu i zobaczyć Cymmerianina na schodach, ten jednym susem przeskoczył do komnaty i miękko wylądowawszy na podłodze, dobył szabli. Przez moment stał nieruchomo jak posąg; później, kiedy nic się nie wydarzyło, ruszył po dywanach w stronę drzwi. Nagle jedna z zasłon odchyliła się, ukazując wyłożoną poduszkami alkowę, i szczupła, ciemnowłosa dziewczyna spojrzała na niego sennym wzrokiem.

Conan popatrzył w napięciu spodziewając się, że zaskoczona zaraz zacznie krzyczeć. Jednak dziewczyna tylko stłumiła ziewnięcie delikatną dłonią; wstała i niedbale oparła się o zasłoniętą gobelinem ścianę.

Niewątpliwie należała do białej rasy, chociaż jej skóra była bardzo ciemna. Miała prosto przycięte, czarne jak noc włosy, a jedynym jej odzieniem był skrawek jedwabiu owinięty wokół bioder. W końcu odezwała się, ale w nieznanym mu języku i Conan potrząsnął głową. Dziewczyna ziewnęła ponownie, przeciągnęła się i nie okazując strachu czy zdziwienia, zaczęła mówić językiem, który rozumiał - dialektem Yuotahów, brzmiącym dziwnie archaicznie.

- Szukałeś kogoś? - zapytała tak obojętnie, jakby najście jej komnaty przez uzbrojonego nieznanego było rzeczą najzwyczajszą w świecie.

- Kim jesteś? - zapytał Conan.

- Jestem Yatoli - odparła leniwie. - Chyba biesiadowałam wczoraj do późna - jestem taka senna. A kim ty jesteś?

- Jestem Conan, wódz kozaków - odrzekł, przyglądając się jej bacznie.

Uważał jej zachowanie za pozę i spodziewał się, że dziewczyna spróbuje uciec z komnaty lub zaalarmować domowników. Jednak, mimo że aksamitny sznur, najprawdopodobniej używany do wzywania służby, wisiał w zasięgu jej ręki, dziewczyna nie próbowała zań pociągnąć.

- Conan - powtórzyła niepewnie. - Nie jesteś Dagonianinem. Sądzę, że jesteś najemnym żołnierzem. Czy ściąłeś głowy wielu Yuets-hom?

- Nie walczę ze szczurami! - sarknął Conan.

- Ale oni są straszni - mruknęła. - Pamiętam czasy, gdy byli naszymi niewolnikami. Potem zbuntowali się: palili, zabijali. Tylko czarzy Khosatrala Khela trzymają ich z dala od murów...

Przerwała i na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

- Zapomniałam - szepnęła. - Oni wspięli się na mury zeszłej nocy. Wokół słychać było krzyki i trzask płomieni, a ludzie daremnie wzywali Khosatrala Khela...

Potrząsnęła głową, jakby próbując się otrząsnąć.

- Przecież to niemożliwe - wymamrotała - ja żyję, a wydawało mi się, że jestem martwa. Och, do diabła z tym!

Przeszła przez komnatę i biorąc Conana za rękę, pociągnęła go na łożo. Pozwolił na to, wciąż spodziewając się podstępu. Dziewczyna uśmiechnęła się do Conana jak sennie dziecko; długie, jedwabiste rzęsy opadły przyslaniając ciemne, zasunięte mgłą oczy. Przesunęła dłonią po jego gęstych lokach, jakby chciała przekonać się, że jest rzeczywistością.

- To był sen - ziewnęła. - Z pewnością to mi się tylko śniło. Teraz też czuję się jak we śnie. Nieważne. Nic nie pamiętam... Zapomniałam... jest coś, czego nie mogę zrozumieć, ale kiedy tylko próbuję o tym myśleć, staję się taka senna... W każdym razie to bez znaczenia.

- Co masz na myśli? - zapytał Conan. - Mówisz, że wspięli się zeszłej nocy na mury? Kto?

- Yuetshowie. Przynajmniej tak mi się zdaje. Kłęby dymu zasłoniły wszystko, a potem nagi zbroczony krwią potwór chwycił mnie za gardło i wbił nóż w piersi. Och, jak bolało! Ale to był tylko sen, bo - widzisz? - wcale nie mam blizny!

Ospale obejrzała swą gładką pierś, po czym siadła Conanowi na kolana i otoczyła ramionami jego potężny kark.

- Nie pamiętam - mruzczała, tuląc swą ciemną główkę do jego masywnej piersi. - Wszystko wydaje się takie odległe i niewyraźne... To nic. Ty nie jesteś snem. Jesteś silny. Cieszymy się życiem, póki możemy. Kochaj mnie!

Conan ułożył puszystą głowę w zagłębieniu zgiętego ramienia i z nieskrywaną przyjemnością ucałował pełne, czerwone wargi.

- Jesteś silny - powtórzyła słabnącym głosem. Kochaj mnie, kochaj...

Senne mamrotanie ucichło: długie rzęsy opadły, ciemne powieki zamknęły się i dziewczyna zwiotczała w ramionach Conana.

Popatrzył na nią marszcząc brwi. Tak jak i całe miasto, wydawała się być złudzeniem, lecz ciepło i miękkość jej ciała świadczyły dobitnie, że ma w swych objęciach żywą istotę, a nie senną zjawę. Mimo to zakłopotany Conan pospiesznie ułożył ją na wyścielonym futrami łożu. Jej sen był zbyt głęboki, by mógł być naturalny. Zdecydował, że dziewczyna musiała zażyć jakiś narkotyk, może podobny do czarnego lotosu z Xuthal.

Nagle zobaczył coś, co go zdziwiło. Wśród futer na łożu znajdowała się piękna, złocista skóra w czarne cętki. Conan wiedział, że zwierzę to wymarło przed tysiącem lat - był to bowiem wielki złoty leopard, zajmujący tak poczesne miejsce w hyboriańskich legendach i którego starożytni artyści tak chętnie przedstawiali na freskach. Z niedowierzaniem potrząsając głową, Conan wyszedł przez łukowato sklepione drzwi na korytarz. W budynku panowała cisza, lecz na zewnątrz wyczulone ucho barbarzyńcy pochwyciło dźwięk ludzkich kroków. Ktoś schodził z muru po tych schodach, z których Conan skoczył do komnaty.

W chwilę później z niepokojem usłyszał, jak coś wylądowało z potężnym trzaskiem na podłodze pokoju, który dopiero co opuścił. Conan zawrócił i pospieszył krętym korytarzem, aż zatrzymał się na widok leżącego człowieka. Mężczyzna leżał na podłodze, połową ciała tkwiąc jeszcze w otworze zamaskowanych drzwi - teraz uchylonych. Szczupłe i ciemne ciało okrywała jedynie przepaska. Leżący miał ogoloną głowę, a na jego twarzy malowało się okrucieństwo.

Conan pochylił się nad nim szukając przyczyny śmierci - śladu morderczego ciosu - i stwierdził, że mężczyzna jest pogrążony we śnie tak samo jak ciemnowłosa dziewczyna w komnacie. Tylko dlaczego wybrał sobie takie miejsce na drzemkę?

Zastanawiając się nad tym, Conan wzdrzgnął się usłyszawszy coś za sobą. Ktoś zbliżał się korytarzem. Conan rozejrzał się wokoło i zobaczył, że sieni kończy się wielkimi drzwiami. Mogły być zamknięte. Jednym szarpnięciem wyciągnął śpiącego mężczyznę z ukry-

tego przejścia i przeszedł przez próg, zamykając drzwi za sobą. Stojąc w ciemności usłyszał, że odgłos kroków urwał się przed jego kryjówką i lekki dreszcz przebiegł mu po krzyżu. W ten sposób nie mógł stąpać ani człowiek, ani żadne ze znanych barbarzyńcy zwierząt.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, przerwana słabym trzeszczeniem drewna. Wyciągnąwszy rękę Conan poczuł, że metalowe drzwi wyginają się, jakby z drugiej strony napierał na nie straszliwy ciężar. Sięgnął po broń, ale napór ustał nagle: usłyszał dziwne, obrzydliwe ciamkanie, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie. Z szablą w dłoni zaczął się wolno cofać, aż natrafił na schody i niewiele brakowało, a byłby z nich spadł. Wąskie stopnie prowadziły w dół. Ruszył w ciemność, próbując bezskutecznie wymacać jakieś drzwi. Właśnie kiedy doszedł do wniosku, że już nie znajduje się w budynku, lecz głęboko pod nim, schody skończyły się i zaczął się tunel.

Wymacując sobie drogę w ciemnościach, Conan szedł przez cichy tunel, w każdej chwili spodziewając się upadku w jakąś niewidoczną przepaść: jednak w końcu jego stopy ponownie natrafiły na stopnie. Wszedł po nich i dotarł do drzwi. Po chwili jego błądzące palce znalazły metalowy rygiel. Wyszedł z tunelu i znalazł się w mrocznej, wyniosłej sali o ogromnych rozmiarach. Pod żyłkowymi ścianami biegły szeregi dziwacznych kolumn, podtrzymujących sklepienie - czarne i przezroczyste jednocześnie, które wyglądało jak zachmurzone, nocne niebo, dając złudzenie nieprawdopodobnej wysokości. Światło wpadające tędy do komnaty było przedziwnie zmienione.

W zalegającym wokół półmroku Conan ruszył po pustej, zielonej posadzce. Wielka sala miała kształt owalny. Jedną ze ścian przecinały wielkie podwoje spiżowych wrót. Naprzeciw nich znajdowało się podium, na które wiodły szerokie kręte schody. Tam stał miedziany tron i Conan cofnął się gwałtownie, unosząc szablę, kiedy zobaczył, kto na nim siedzi.

Wstrzymując oddech wszedł po szklanych stopniach, żeby przyjrzeć się temu z bliska. Był to gigantyczny wąż, najwidoczniej wyrzeźbiony z jakiegoś materiału przypominającego nefryt. Każda łuska odrażającego cielska wyglądała jak prawdziwa, również tęczywe kolory odtworzono z niezwykłą dokładnością. Wielka, trójkątna głowa była do połowy ukryta w splotach - tak więc ślepią i paszczką pozostawały niewidoczne. W mózgu Conana wolno kiełkowało zrozumienie. Ten wąż najwidoczniej miał uosabiać jedno z tych ponurych stworzeń, jakie w minionych wiekach zamieszkiwały trzcinaste brzegi południowych krańców Morza Vilayet. Jednak, podobnie jak złocisty lampart, węże te wymarły przed setkami lat. Conan widział ich toporne wizerunki w świętych chatkach Yuetshów, a także czytał ich opis w Księdze ze Skelos, która powoływała się na historyczne źródła.

Teraz, podziwiając pokryte łuskami cielsko, grubsze od jego uda i z pewnością niezwykle długie, wyciągnął rękę i dotknął węża. W tej samej chwili drgnął gwałtownie, a serce podeszło mu do gardła. Krew w jego żyłach zmieniła się w lód i wszystkie włosy stanęły mu dęba, bowiem nie dotknął gładkiej, kruchej powierzchni z metalu, szkła lub kamienia, lecz elastycznej tkanki. Pod palcami poczuł leniwie tętniące życie...

Z obrzydzeniem cofnął rękę. Zachowując najwyższą ostrożność zszedł tyłem po krętych stopniach, nie spuszczać oka ze straszliwego władcy wylegującego się na swym miedzianym tronie. Z gardłem ściśniętym lękiem i odrazą dotarł do wielkich drzwi i spróbował je otworzyć. Stwór nie poruszył się. Conan czuł przerażenie na myśl, że nie uda mu się otworzyć wrót i pozostanie tu dłużej razem z potwornym gadem. Jednak podwoje ustąpiły - wysliznął się z sali i zamknął je za sobą.

Znalazł się w obszernej komnacie o pokrytych gobelinami ścianach, w której panował taki sam mętny półmrok. W słabym świetle bardziej odległe przedmioty były trudne do rozpoznania i Conana zaniepokoiła myśl o ewentualnym spotkaniu z pełzającymi w ciemnościach gadami. Oświetlenie sprawiało, że drzwi na końcu sali wydawały się oddalone o całe mile.

Wiszący na pobliskiej ścianie gobelin wydawał się zasłaniać jakieś przejście. Ostrożnie unosząc kotarę, Conan odkrył wąskie schody wiodące w górę.

Gdy stał zastanawiając się, w wielkiej sali, którą dopiero co opuścił, usłyszał ponownie znajome szuranie stóp. Czyżby ktoś za nim szedł. Conan nie zwlekając wbiegł na stopnie. Kiedy schody wreszcie się skończyły, wszedł w pierwsze napotkane drzwi. Jego pozornie chaotyczna wędrówka miała dwa cele: ucieczkę z tego niesamowitego budynku i odnalezienie nomediańskiej dziewczyny, którą, jak czuł, uwięziono gdzieś tutaj. Był przekonany, że wielki, kopulasty gmach w centrum miasta jest siedzibą władcy i tu z pewnością doprowadzono dziewczynę.

Znalazł się w pomieszczeniu pozbawionym drugich drzwi i już chciał zawrócić, gdy usłyszał dochodzący zza ściany głos. Przytknął ucho do muru i słuchał uważnie. Lodowaty dreszcz zaczął wolno pełznąć mu po krzyżu. Głos nie należał do ludzkiej istoty, choć przemawiał po nomediańsku.

- Nie było życia w Otchłani prócz tego, jakie ja uosabiałem - dudnił głos. - Nie było światła, ni ruchu, ni dźwięku. Tylko siła nakażująca i wiodąca mnie w górę - ślepego, pozbawionego zmysłów i litości. Wiek za wiekiem wspinałem się przez niezmierzone odmetry ciemności.

Conan zaczarowany przez ten dźwięczący głucho, niczym dzwon bijący o północy głos, trwał zasłuchany, zapomniawszy o całym świecie, aż hipnotyczna moc odjęła mu wszystkie zmysły, pozostawiając tylko pojawiające się w mózgu wizje. Już nie zdawał sobie sprawy z istnienia głosu, czuł jedynie przytłumione, rytmiczne fale dźwięków. Przeniesiony poza czas i przestrzeń, pozbawiony osobowości, widział przemianę rzeczy zważającej się Khosatralem Khelem, która wypełzała z Mroku przed setkami lat i przybrała materialną postać.

Jednakże ludzkie ciało było zbyt słabe i marne dla tej straszliwej istoty. Tak więc Khosatral Khelem przybrał postać mężczyzny, lecz jego ciało nie było ciałem ani krew - krwią, ni kości - kośćmi. Stał się chodzącym bluźnierstwem przeciwko prawom natury, ponieważ w jego osobie bezpostaciowa, pierwotna siła przybrała żywą, myślącą formę.

Niczym bóg przemierzał świat, bowiem nie miała się go żadna broń, a wiek był dla niego tylko chwilą. Podczas swoich wędrówek natrafił na prymitywny lud zamieszkujący wyspę Dagonię. Obdarzył ich kulturą i mądrością, bo sprawiło mu to przyjemność; dzięki jego pomocy zbudowali miasto, gdzie zamieszkali i oddawali mu cześć. Dziwni i straszni byli jego władcy, zwoływani z najciemniejszych zakamarków planety, na której wciąż jeszcze uchowały się ponure stwory z minionych wieków. Jego siedziba łączyła się z wszystkimi domami w mieście - tunelami, którymi kapłani o wygolonych głowach znosili mu ludzkie ofiary.

Po wielu wiekach na brzegu morza pojawił się dziki, koczowniczy szczep. Nazywali się Yuetshami: po zacieklej bitwie zostali zwyciężeni i przez następne pół wieku służyli Khosatralowi jako niewolnicy i umierali na jego ołtarzach. Czarami trzymał ich w ryzach, lecz w końcu Yuetshański kapłan - dziwny, ponury człowiek - umknął w pustkowia, a kiedy wrócił, przyniósł ze sobą nóż z niezemskiej materii. Wykuto go z meteoru, który przemknął po niebie jak ognista strzała i spadł w odległej dolinie. Niewolnicy zbuntowali się. Zębatymi ostrzami swych noży różnili Dagonian jak owce, a czary Khosatrala nie miały mocy przeciw magicznemu nożowi kapłana.



Rzeź i pożoga rozszały się na ulicach miasta, a ostatni akt ponurego dramatu rozegrał się w ukrytej krypcie, za wielką salą tronową o ścianach cętkowanych niczym skóra węża.

Stamtąd kapłan Yuetszów wyszedł sam. Nie zabił swego wroga, ponieważ w razie potrzeby chciał użyć go przeciw swym buntowniczym poddanym. Pozostawił Khosatrę leżącego bez zmysłów na złotym postumencie, z magicznym nożem na piersiach. Ale mijały wieki. Kapłan umarł i rozsypały się wieże w agonii; opowieści o tym stały się legendą, a Yuetszowie w wyniku głodu, zarazy i wojen stali się nielicznym ludem zamieszkującym brudne i nędzne wioski na brzegu morza. Tylko tajemna krypta oparła się działaniu czasu, aż przypadkowy piorun i ciekawość rybaka podniosły magiczne ostrze z piersi bóstwa i zdjęły zaklęcie. Khosatrę Khol ożył i znów był potężny jak dawniej. Z jego woli odrodziło się miasto - takie, jakim było przed upadkiem. Czarnoksiężską sztuką wskrzesił z prochu minionych stuleci budowle i zamieszkujący w nich lud. Jednak ludzie, którzy zaznali spokoju śmierci, są już tylko częściowo żywi. W zakamarkach duszy i umysłu wciąż kryje się nieprzewyciężona martwota. W nocy lud Dagonii bawi się i tańczy, nienawidzi i kocha, pamiętając o swej śmierci i zagładzie miasta jak o niewyraźnym koszmarze sennym: krążąc w kręgu złudzeń, czując niezwykłość swego istnienia, lecz nie dociekając jej przyczyny. O świcie zapada w głęboki sen, by zbudzić się znowu z nadejściem nocy - krewniaczki śmierci.

Wszystko to przemknęło przez świadomość Conana, kiedy trwał zasłuchany przy ścianie. Zamroczone, czuł, że opuszcza go wiara we własne zdrowe zmysły, pozostawiając wizję świata gęsto zaludnionego przez ponure stwory o straszliwych zdolnościach. Przez dudniący głos głoszący swój triumf nad wszelkimi prawami natury i kosmosu, przedarł się ludzki krzyk, sprowadzający Conana do rzeczywistości. Gdzieś histerycznie szlochała kobieta.

Conan odruchowo zerwał się na równe nogi.

Johungir Aga z rosnącą niecierpliwością czekał na swej łodzi, wśród trzciny. Upłynęła już przeszła godzina, a Conan nie pojawił się ponownie. Niewątpliwie wciąż przeszukiwał wyspę, myśląc, że dziewczyna się na niej ukrywa. Jednak Aga zaczął obawiać się czegoś innego. A jeśli hetman pozostawił swoich ludzi w pobliżu? Czy nie nabiorą podejrzeń i nie nadciągną, by sprawdzić przyczynę tak długiej nieobecności wodza? Johungir wydał rozkaz wiosłarzom: długa łódź wynurzyła się z trzciny i pomknęła ku wykutym w skałę stopniom.

Pozostawiając pół tuzina ludzi na pokładzie, Aga zabrał resztę ze sobą: dziesięciu tęgich łuczników z waharizmu odzianych w spiczaste hełmy i płaszcze z tygrysięj skóry. Jak myśliwi podążający za tropem lwa, skradali się pod drzewami, trzymając strzały na cięciwach. W lesie panowała cisza: tylko wielkie, zielone stworzenie - chyba papuga - przeleciało im nad głowami z głośnym łopotem skrzydeł i zniknęło w mroku. Nagle, Johungir gwałtownym gestem zatrzymał oddział. Z niedowierzaniem spoglądał na widoczne w oddali wieże.

- Na Tarima! - mruknął pod nosem. - Piraci odbudowali fort! Conan na pewno jest w środku. Musimy to zbadać. Forteca tak blisko łądu! Chodźmy!

Ze zdwojoną ostrożnością przemykali między drzewami. Gra stała się bardziej ryzykowna: z tropicieli i myśliwych stali się szpiegami. A kiedy czołgali się przez splątany gąszcz, człowiek, którego szukali, stawiał czoła niebezpieczeństwu znacznie groźniejszemu niż ich smukłe strzały.

Z dreszczem niepokoju Conan stwierdził, że głos dolatujący zza ściany umilkł. Przez moment stał nieruchomo, jak posąg, ze spojrzeniem wbitym w zasłonięte drzwi, spodziewając się, że zaraz pojawi się w nich straszliwy Khosatrę Khol. W komnacie zalegał mglisty półmrok, lecz barbarzyńca dojrzał gigantyczną postać przeciwnika. Nie dosłyszał kroków, ale olbrzym zbliżył się na tyle, że Conan mógł dostrzec dalsze szczegóły. Mężczyzna odziany był w sandały, spódniczkę i szeroki, skórzany pas. Złota obręcz na skroniach przytrzymała prosto przyciętą u ramion grzywę czarnych włosów. Zobaczył mocarne ramiona, szeroką pierś i bary z piętrzącymi się węzłami mięśni. Z twarzy o ostrych rysach spoglądały na Cymmerianina okrutne, bezlitosne oczy. Conan wiedział, że ma przed sobą Khosatrę Khela, istotę z Otchłani, boga Dagonii.

Nie padło nawet jedno słowo. Nie było to potrzebne. Khosatrę rozłożył szerokie ramiona i Conan przykucając, ciął w brzuch giganta. Natychmiast cofnął się gwałtownie, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. Ostrze zadźwięczało jak na kowadło i odskoczyło nie pozostawiając śladu. Olbrzym runął na niego jak burza. Starli się gwałtownie. Conan z najwyższym trudem wyrwał się z objęć przeciwnika: krew sączyła mu się z miejsc, gdzie stalowe palce rozdarły mu skórę. Podczas tego przelotnego starcia doznał szoku, uzmysłowiwszy sobie, że zetknął się nie ze zwyczajnym ludzkim ciałem, lecz z ożywionym myślącym metalem.

Khosatrę nacierał na niego w półmroku. Conan wiedział, że jeśli te olbrzymie dłonie zamkną się raz jeszcze wokół jego szyi, to nie rozluźnią uścisku, dopóki nie wycisną ostatniego tchu. W ciemnościach wydawało mu się, że walczy z sennym koszmarem.

Odrzuciwszy beużyteczną szablę, podniósł ciężką ławę i cisnął nią z całej siły. Niewielu mężczyzn zdołałoby choćby unieść taki ciężar, jednak na piersi Khosatry Khela pocisk roztrząsał się w kawałki nie zachwiawszy nawet olbrzymem. Tylko twarz giganta zatraciła ludzki wyraz i nad jego głową zapaliła się złocista poświata. Z impetem ruszył na Cymmerianina.

Jednym gwałtownym ruchem Conan zerwał ze ściany olbrzymi gobelin i zakręciwszy nim nad głową, co wymagało większego wysiłku niż ciśnięcie ławą, zarzucił go na głowę przeciwnika. Przez chwilę Khosatrę plątał się, przyduszony i oślepiony przez materiał opierający się jego nieludzkiej sile lepiej niż drewno czy stal. W tym czasie Conan podniósł szablę i wypadł na korytarz. Nie zwalniając kroku przemknął przez drzwi przyległej komnaty, zatrzasnął je i zasunął rygiel.

Odwróciwszy się, stanął jak wryty i krew uderzyła mu do głowy. Na stercie jedwabnych poduszek, z falami złotych włosów opadających na ramiona i przerażeniem w oczach kuliła się kobieta, której pożądał. Prawie zapomniał o deptającym mu po piętach potworze, kiedy głośnie trzask za plecami przywrócił mu rozsądek. Chwytał dziewczynę i skoczył do drzwi po drugiej stronie komnaty. Jasnówłosa była zbyt wystraszona, by mu w tym przeszkadzać lub pomóc. Wydawało się, że jedynym dźwiękiem, jaki w stanie jest z siebie wydobyć, jest słaby jęk.

Conan nie tracił czasu próbując otworzyć drzwi. Straszliwym ciosem szabli przerąbał zamek i wyskakując na schody, zobaczył kątem oka głowę i ramiona Khosatry z trzaskiem wyłamującego zamknięte drzwi po drugiej stronie pokoju. Kolos zdruzgotał je jakby były z tektury.

Conan pognął schodami w górę, z dziecinną łatwością niosąc przerzuconą przez ramię dziewczynę. Nie miał pojęcia dokąd biegnie, ale schody doprowadziły go do owalnej komnaty o kopulastym suficie. Olbrzym pędził za nimi po schodach, szybki i cichy jak śmierć. Komnata miała stalowe ściany i drzwi. Conan zatrzasnął je i zasunął rygle - wielkie, stalowe sztaby. Uderzyła go myśl, że znaleźli się w komnacie Khosatry, w której ten zamykał się na noc, by zabezpieczyć się przed potworami, przyzwanymi z Otchłani dla zaspokojenia jego kaprysów.

Zaledwie zamknął drzwi, gdy zatrzęsy się pod gwałtownymi ciosami. Conan wzruszył ramionami. Oto kres drogi. Z pomieszczenia nie było wyjścia. Powietrze i dziwne przyćmione światło najwidoczniej dochodziło przez szczeliny kopuły. Zupełnie spokojny, sprawdził wyszczerbione ostrze swej szabli. Zrobił, co mógł; jeśli kolos wyłamie drzwi, Conan znów rzuci się na niego z bezużyteczną bronią w rękę - nie dlatego, by spodziewał się sukcesu, lecz ponieważ w jego naturze leżała walka do końca. Na razie nie miał nic do roboty. Jego spokój nie był wymuszony czy udawany. W spojrzeniu, jakim obrzucił swą urodziwą towarzyszkę, był tak niekłamany zachwyty, jakby miał przed sobą sto lat życia.

Kiedy zamykał drzwi, rzucił ją bezceremonialnie na podłogę - podniosła się na nogi, machinalnie przyglądając falujące loki i skąpy przyodziewek. Conan obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty, zatrzymując je dłużej na gęstych, złocistych włosach, pełnych pierśsiach i zarysach wspaniałych bioder.

Z jego gardła wyrwał się cichy krzyk, gdy drzwi zatrzęsy się i rygiel pękł ze zgrzytem. Conan nie obejrzał się. Wiedział, że drzwi wytrzymają jeszcze przez chwilę.

- Powiedziano mi, że uciekałeś - rzekł - yuetszański rybak doniósł mi, że tu się ukrywasz. Jak masz na imię?

- Oktawia - szepnęła odruchowo i zaraz wybuchnęła potokiem słów chwyciwszy kurczowo Conana za rękę. - O Mitri! Czy to koszmarny sen? Ci ludzie - ciemnoskórzy - jeden z nich chwycił mnie w puszczy i przywiódł tutaj. Zanieśli mnie do tego - tego stwora.

Powiedział mi... powiedział... Czy ja oszalałam? Czy to sen?

Conan zerknął na drzwi, które wygięły się jak pod ciosem tarana.

- Nie - rzekł. - To nie sen. Zawiasy ustępują. Dziwne, że ten demon musi wyłamywać drzwi jak zwykły człowiek - jednak mimo wszystko, sama jego siła jest piekielna.

- Czy nie możesz go zabić? - jęknęła. - Jesteś silny. Conan był zbyt uczciwy, by karmić ją kłamstwami.

- Gdyby zwykły śmiertelnik mógł go zabić, byłby już martwy - odparł. - Wyszczubiłem szablę na jego brzuchu.

Jej oczy pociemniały.

- Więc musisz umrzeć i ja też - O Mitro! - krzyknęła nagle w najwyższym przerażeniu i Conan chwycił ją za rękę, obawiając się, że zechce sobie coś zrobić. - Powiedział, co chce ze mną zrobić!

Dyszała ciężko.

- Zabij mnie! Zabij! Zanim tutaj wejdziesz! Conan spojrzał na nią i potrząsnął głową.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział. - To nie będzie wiele, ale da ci szansę wydostania się z komnaty. Biegnij do brzegu. Mam tam łódź przycumowaną przy schodach. Jeżeli wydostaniesz się z pałacu, może uda ci się uciec. Wszyscy mieszkańcy miasta śpią.

Ukryła twarz w dłoniach, Conan podniósł swą szablę, podszedł do dudniących pod uderzeniami drzwi i stanął przy nich. Patrząc na niego trudno było uwierzyć, że czekał na nieuniknioną, w swoim przekonaniu, śmierć. Może oczy jarzyły mu się bardziej niż zwykle i silniej ścisnął broń w muskularnej dłoni - to wszystko.

Zawiasy ustąpiły pod straszliwymi ciosami giganta i drzwi zakołysały się gwałtownie, przytrzymywane tylko przez rygle. Te solidne, stalowe sztaby również gięły się i łamały, jakby były z miękkiej miedzi. Conan spoglądał na to z niemal beznamiętnym zainteresowaniem, podziwiając nieludzką siłę potwora. Nagle, bez ostrzeżenia, dudnienie ustało. Po drugiej stronie drzwi wyczulony słuch barbarzyńcy pochwycił dziwne dźwięki; trzepot skrzydeł i skrzeczący głos, przypominający skowyt wiatru o północy. Później nastąpiła cisza, lecz nieco inna niż poprzednio. Conan wiedział, że władca Dagonii odszedł.

Cymmerianin zerknął przez szparę powstałą między drzwiami a framugą. Podest był pusty. Conan odciągnął zwichrowane rygle i ostrożnie odstawił na bok wyłamane drzwi. Khosatralla nie było na schodach, tylko gdzieś w dole usłyszał trzask zamykanych drzwi. Nie wiedział, czy gigant knuł jakiś nowy podstęp, czy też wezwał go gdzieś tajemniczy głos, ale nie tracił czasu na rozważania. Krzyknął na Oktawie i ton jego głosu sprawił, że dziewczyna skoczyła na nogi i stanęła u jego boku.

- Co się stało? - szepnęła.

- Nie traćmy czasu na rozmowy! - syknął. - Chodźmy! Conan odmienił się całkowicie; z błyskiem w oczach rzekł głosem nieznającym sprzeciwu:

- Pójdziemy po nóż! Magiczne ostrze Yuetszów. Zostawił je w krypcie!

W dzikim pośpiechu pociągnął dziewczynę za sobą.

Po drodze przypominał sobie tajemną kryptę przylegającą do sali tronowej i oblał się potem. Jedyna droga do grobowca wiodła obok miedzianego tronu stworzenia, które na nim spoczywało. Jednak nie wahał się ani chwili. Szybko zeszli po schodach, przeszli przez komnatę, zbiegli po następnych schodach i stanęli pod drzwiami wielkiej, mrocznej sali. Nigdzie nie dostrzegli śladu kolosa. Zatrzymując się przed spiznowymi podwojami Conan ujął Oktawie za ramiona i potrząsnął nią mocno.

- Słuchaj! - warknął. - Wejść do komnaty i zamknąć drzwi za sobą.

- Stój tu i czekaj; jeśli usłyszysz kroki Khosatralla, zawołaj mnie. Jeżeli usłyszysz mój krzyk - biegnij jakby cię goniły wszystkie demony - zresztą tak będzie. Uciekaj przez tamte drzwi na końcu korytarza, bo ja już nie będę ci mógł pomóc. Idę po nóż Yuetszów!

I zanim zdążyła zaprotestować, przesłiznęła się przez uchylone wierzeje i zamknęła je cicho za sobą. Ostrożnie opuszczając rygiel, nie zauważył, że można go odsunąć z drugiej strony. Odszukał wzrokiem ukryty w gęstym mroku miedziany tron - tak, oślizły gad wciąż tam leżał, oplatając go swoim cielskiem. Conan dostrzegł drzwi za tronem i domyślił się, że prowadzą do krypty. Jednak, aby tam się dostać, musiał przejść przez podium parę stóp od potwora.

Wietrzyk wiejący po zielonej posadzce narobiłby więcej hałasu niż cicho stąpający barbarzyńca. Ze spojrzeniem utkwionym w śpiącej bestii dotarł do podium i wszedł na szklane stopnie. Potwór nie poruszył się. Conan był już blisko drzwi...

Szczęknął brązowy rygiel przy wielkich drzwiach i Cymmerianin stłumił wściekłe przekleństwo widząc wchodzącą do sali Oktawie. Rozejrzała się, nie widząc w gęstym mroku; Conan stał jak wryty nie mogąc jej ostrzec. Dziewczyna dojrzała go i podbiegła ku podium, krzycząc:

- Chcę iść z tobą! Boję się zostać sama! Och!

Z przenikliwym okrzykiem uniosła ręce w górę, gdy wreszcie dostrzegła zwiniętego na tronie węża. Trójkątna głowa podniosła się i wyciągnęła w kierunku Oktawii. Płynnym ruchem gad zaczął spełzać z tronu; powoli, zwój po zwoju, paraliżując dziewczynę spojrzeniem nieruchomych oczu. Jednym rozpaczliwym susem Conan przebył przestrzeń dzielącą go od tronu i z całej siły ciął szablą. Lecz gad był od niego szybszy. Pochwycił Conana w pół skoku, otaczając swoimi splotami. Szabla spadła bez rozmachu przecinając łuski, ale nie raniąc poważnie węża.

Conan miotał się rozpaczliwie w straszliwym uścisku, wyciskającym mu dech z piersi i miażdżącym żebra.

Prawe ramię miał wciąż jeszcze wolne, ale nie mógł nabrać rozmachu, by wymierzyć morderczy cios, a wiedział, że musi zabić bestię jednym ciosem. Wyteżył wszystkie siły, czując, że mięśnie zamieniają mu się w węzliste bryły, a żyły prawie pękają z wysiłku. Stał na nogi, dźwigając niemal cały ciężar czterdziestostopowego cielska. Przez moment chwiało się na szeroko rozstawionych stopach, wreszcie wznosił błyszczące ostrze nad głowę.

Szabla spadła ze świstem, przecinając łuski, ciało i kręgi gada. Zamiast jednego węża były teraz dwa, wijące się po posadzce w kurczach agonii. Conan chwiejnie opadł na bok, kręciło mu się w głowie, krew lała się z nosa i miał mdłości. Macając wokół siebie złaapał Oktawie i potrząsnął nią, aż zadzwoniła zębami.

- Następnym razem kiedy każe ci zostać - wydyszał - to zostaniesz!

Był zbyt oszołomiony, by dosłyszeć jej odpowiedź. Chwyciwszy ją za rękę jak krnąbrne dziecko, podszedł do drzwi, szerokim łukiem omijając wciąż drgające cielsko. Wydawało mu się, że w oddali słychać jakieś wrzaski, ale w uszach mu jeszcze szumiało, więc nie był tego pewny.

Pchnięciem otworzył drzwi. Jeżeli to Khosatral umieścił węża na straży magicznego ostrza, najwidoczniej uważał to za wystarczające zabezpieczenie. Conan prawie spodziewał się, że z otwartych drzwi wyskoczy następny potwór, lecz w przymglonym świetle ujrzał jedynie dziwny zarys łuskowatego sklepienia, matowy blask złotego postumentu i półksiężycowate ostrze lśniąca na kamieniach.

Porwał je z westchnieniem ulgi, po czym nie tracąc czasu na oglądanie grobowca, odwrócił się i pomknął do odległego wyjścia, które, jak przypuszczał, prowadziło na zewnątrz. Miał rację. Kilka minut później wyszedł na cichą ulicę, pół niosąc, pół ciągnąc swoją towarzyszkę. Nie widzieli nikogo, chociaż za zachodnim murem rozlegały się wrzaski i jęki, na nowo napełniając Oktawie przerażeniem. Conan poprowadził ją do południowej bramy i bez trudu odnalazł kamienne schody na szczycie muru. Z wielkiej sali zabrał grubą sznur i teraz, dotarłszy na górę, skręcił mocną pętlą talię dziewczyny i opuścił ją na ziemię. Następnie, przywiązawszy jeden koniec liny do muru, zręcznie się po niej ześliznął. Z wyspy mogli uciec tylko jedną drogą - schodami na zachodnim brzegu. Ruszyli w tym kierunku, omijając z daleka miejsce, skąd dobiegały krzyki i odgłosy straszliwych ciosów.

Oktawia czuła kryjące się w gęstwinie zagrożenie. Oddychała ciężko i trzymała się blisko swego opiekuna. Jednak w puszczy panował spokój. Nie dostrzegli śladu niebezpieczeństwa. Dopóki nie wyszli na otwartą przestrzeń i nie zobaczyli stojącego na nadbrzeżnych skałach człowieka.

Johungir Aga uniknął losu swych wojowników, których stalowy olbrzym rozszarpał na strzępy, wypadłszy nagle z fortecy.

Kiedy zobaczył, jak miecze jego łuczników łamią się na ciele demona o ludzkiej postaci, zrozumiał, że ich przeciwnik nie jest człowiekiem i umknął kryjąc się w gąszczu, dopóki odgłosy rzezi nie ucichły. Później podkraść się do schodów, lecz... jego załoga nie czekała na niego.

Słyszając dzikie wrzaski mordowanych towarzyszy, a później widząc na brzegu zbroszonego krwią potwora, wymachującego groźnie gigantycznymi ramionami, nie czekali długo. Kiedy Johungir dotarł do schodów, właśnie znikali w trzcinach po drugiej stronie przemyku. Khosatral odszedł - wrócił do miasta albo przetrząsał puszcę w poszukiwaniu zbiegów.

Johungir właśnie przygotowywał się, by zejść po schodach i odpłynąć łodzią Conana, gdy zobaczył Conana wychodzącego z dżungli. Wstrząsające wydarzenia, które zmroziły mu krew w żyłach i niemal odebrały zmysły, nie zmieniły zamiarów Johungira co do wodza kozaków. Widok człowieka, którego chciał zabić, napełnił go zadowoleniem. Trochę zdziwiło go pojawienie się dziewczyny, ale nie tracił czasu na rozmyślenia. Podniósł łuk, napiął cięciwę i wypuścił strzałę. Conan uskokczył i pocisk utkwiał w pniu drzewa.

- Psie! - zaśmiał się barbarzyńca. - Nie zdołasz mnie trafić! Nie urodziłem się po to, by umrzeć od hyrkańskiej stali! Spróbuj jeszcze raz, turańska świni!

Johungir nie próbował - to była jego ostatnia strzała. Dobył szablę i runął na wroga, ufając swemu spiczastemu hełmowi i kolczudze o drobnych oczkach. Conan spotkał go wpół drogi, tnąc zajadłe. Zakrzywione ostrza starły się z brzękiem, odskakując, zataczając lśniąca łuki, sypiąc skry. Obserwująca to Oktawia nie zauważyła ciosu; usłyszała tylko głuchy odgłos uderzenia i zobaczyła, jak Johungir pada obłany krwią z rozrąbanego boku, gdzie cymmeriańska stal przecięła kolczugę i kręgosłup.

Jednak to nie na widok śmierci swego dawnego pana z gardła dziewczyny wydarł się przesywający okrzyk. Z trzaskiem łamanych gałęzi z dżungli wynurzył się Khosatral Khol. Oktawia nie była w stanie uciekać - krzyknęła tylko przeraźliwie, kolana się pod nią ugięły i opadła na murawę.

Stojący nad ciałem Agi Conan nie zamierzał uciekać. Przerzucił okrwawioną szablę do lewej ręki i wyjął wielki, zakrzywiony nóż Yuetshów. Olbrzym zmierzał ku niemu wyciągając potężne ramiona, lecz gdy promień słońca załśnił jasno na ostrzu, cofnął się gwałtownie. Conan jednak nie zadowolił się tym. Runął na niego wywijając magiczną bronią. Pod jego ciosem ciemny metal ciała Khosatrala poddawał się jak kark wołu pod ciosem topora. Z głębokiej rany trysnęła ciemna posoka i olbrzym krzyknął głosem przypominającym żałobne bicie dzwonu. Straszliwe ramiona opadły z impetem, lecz Conan był szybszy od turańskich łuczników, którzy zginęli pod ich ciosami. Uchylił się, uderzył ponownie i jeszcze raz, Khosatral zachwiał się i zatoczył w tył; jego krzyki były nie do zniesienia. Wydawało się, że żelazo obdarzone ludzką mową rzezi i wyje pod ciosami. W następnej chwili gigant chwiejnie pobiegł w gąszcz; potykając się, łamiąc drzewa i tratując krzaki. A jednak, mimo że Conan pędził za nim z szybkością podwojoną przez wściekłość, zanim dopadł wroga, już majaczyły przed nimi mury i wieże Dagonii.

Khosatral odwrócił się ponownie, młócąc rozpaczliwie ramionami, lecz nie zdołał powstrzymać rozjuszonego przeciwnika. Jak pantera atakująca łosia, Conan zanurkował pod opadające ramiona i wbił zakrzywione ostrze po rękojeść w miejsce, gdzie u człowieka znajduje się serce.

Khosatral zatoczył się i upadł. Stojąc miał jeszcze ludzką postać, ale na ziemię padł już jako nie-człowiek. Tam, gdzie przedtem była twarz o ludzkich rysach, nie było nic; metal topił się i zmieniał...

Conan, którego nie przerażał żywy Khosatral Khol, z odrazą odskoczył od martwego wroga, bowiem w agonii olbrzym przybrał ponownie postać, jaką miał, gdy wypelzał z Otchłani przed tysiącami lat. Drżąc z obrzydzenia, Conan odwrócił się i zobaczył, że wieże Dagonii nie wznoszą się już wśród drzew. Rozwiały się jak dym: baszty, parapety, strzelnice, wielkie wrota z brązu, aksamity i jedwabie, złoto i kość słoniowa, kobiety i mężczyźni - wszystko znów rozsypało się w proch. Tylko kikuty potrząskanych kolumn sterczały wśród gruzów zwałonych ścian, zdruzgotanych bruków i rozłupanych murów. Conan znów widział ruiny Xapur takie, jakimi je pamiętał.

Cymmerianin stał długą chwilę w milczeniu, niejasno uświadamiając sobie istotę odwiecznego konfliktu między efemerycznym tworem zwanym ludzkością a mrocznymi wytworami odwiecznego Mroku.

Później posłyszał, że ktoś wzywa go ze strachem w głosie; drgnął jak zbudzony ze snu, spojrzął raz jeszcze na leżące na ziemi szczątki, wzdrygnął się i ruszył z powrotem.

Czekając, dziewczyna lekliwie wpatrywała się w gąszcz. Pojawienie się Conana wyrwało z jej ust krzyk ulgi. Cymmerianin otrząsnął się z ponurych wizji i znów był sobą.

- Gdzie on jest? - pytała lekliwie.

- Wrócił tam, skąd przybył - do Piekła! - odparł z zadowoleniem. - Dlaczego nie zesłaś po schodach i nie uciekłaś moją łodzią?

- Nie opuściłabym - zaczęła, po czym zmieniwszy zdanie, dokończyła potykając się: - Nie mam gdzie iść. Hyrkanie znów zrobią ze mnie niewolnicę, a piraci...

- A co z kozakami? - odpowiedział.

- Czyżby byli lepsi od piratów? - zapytała pogardliwie. Podziw Conana wzrósł, gdy ujrzał, jak szybko odzyskała swą dawną pozę, mimo tak gwałtownych wzruszeń. Jej arogancja rozbawiła go.

- Wydawałaś się tak sądzić w obozie przy Ghori - odparł. Ze wzgardą wykrzywiła czerwone wargi.

- Myślisz, że rozkochałam się w tobie? Wyobrażałeś sobie, że okryłabym się hańbą flirtując z takim żarłokiem i piwo żłopem? Mój właściciel - którego zwłoki tam leżą - zmusił mnie do tego.

- Och! - Conan wydawał się być speszony, ale zaraz roześmiał się wesoło.

- Nieważne. Teraz należysz do mnie. Pocałuj mnie.

- Ośmielasz się prosić - zaczęła z oburzeniem, lecz nagle poczuła, że unosi ją w powietrzu i przyciska do swej muskularnej piersi. Opierała się wściekle, wytěżając wszystkie siły, ale Conan tylko śmiał się coraz głośniejsze, upojony bliskością tego wspaniałego ciała. Bez trudu przełamał jej opór i z niepokromioną gwałtownością jął spijać nektar z jej warg, aż przestała się szamotać i objęła go za szyję.

Później zajrzał jej w oczy i rzekł:

- Czemu wódz Wolnych ludzi nie miałby być lepszy od turańskiego kundla?

Odrzuciła w tył faliste loki, wciąż czując każdym nerwem żar jego pocałunków. Nie wypuszczając go z objęć, zapytała pro-  
wokująco:

- Czy uważasz się za równego Adze?

Roześmiał się i ruszył ku schodom, niosąc ją w ramionach.

- Sama osądzisz - rzekł z przechwałką. - Podpalę Kwaharium jak pochodnię, by oświetlić ci drogę do mego namiotu.